



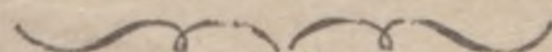
Religia, a wiara.

Kilka słów do stronnictwa konserwatywnego

przez

A. A.





LWÓW,
Nakładem Wydawnictwa „Dziennika Polskiego.“
1871.

Religia, a wiara.



Wiara zaczyna się tam, gdzie się kończy wiedza. *Wierzono*, że ziemia jest płaszczyzną, póki się nie *przekonano*, że ma kształt kuli. *Wierzono* w cztery pierwiastki, póki chemia nie *dowiodła*, że jest ich nierównie więcej. W ogóle *wierzyć*, znaczy: *nic nie wiedzieć*.

Wiedza ludzka jest bardzo niedostateczną i powierzchowną. Nauka w najgłębszych badaniach swoch niezdolną jest wykazać przyczyny ani sposobu powstania tego świata, wśród którego żyjemy. Niezdolną jest ona nawet postawić niewzruszonych, ogólnych prawideł co do tego, co jest *dobrem*, a co *złem*. Ściśle biorąc, nie zna ona nawet tych definicyj — i wie tylko, iż są rzeczy *pożyteczne* lub rzeczy *szkodliwe* — pojedyńczemu człowiekowi, państwu, społeczeństwu ludzkiemu i t. d.

Są jednak ludzie, którzy mniemają, iż podobne wyniki badań naukowych wystarczają zupełnie do utrzymania ładu w społeczeństwie, państwie i rodzinie, do utrzymania wewnętrznego nakoniec ładu w pojedyńczym człowieku. Ich zdaniem tedy, dobry kodeks może

zastąpić wszelką religię, i kodeks ten potrzebuje składać się jedynie z postanowień czysto utylitarnych, tj. zabraniać tego wszystkiego, coby mogło rozprządz rodzinę, państwo lub społeczeństwo. Że kodeks podobny nie uchroni pojedyńczego człowieka od rozprzężenia wewnętrznego, i że tem samem, nie zapobieży pierwiastkowi niebezpieczeństw, grożących wszelkiej większej lub mniejszej społeczności ludzkiej, o to nie dbają wyznawcy tej doktryny.

Inni, zaprzeczając, by wyniki rozumowania ludzkiego mogły stanowić wyłączną podstawę wszelkiej organizacji, i czując niedostateczność wiedzy ludzkiej w tej mierze, zastępują ją lub uzupełniają przez *wiarę*. Wiara wskazuje Boga jako stwórcę świata i odwiecznego prawodawcę. Przemawia ona do uczonych i do nieuczonych, do tych, którzy umieją odróżnić rzecz ogólnie pożyteczną od ogólnie szkodliwej, i do tych, którzy tego nie umieją. Kodeks jej chroni od upadku nietylko społeczność ludzką, nietylko wkłada na indywiduum pewne ograniczenia, niezbędne dla istnienia całości i dla pożytku reszty indywiduów — ale stanowi on także przepisy dla wewnętrznego życia każdego indywiduum i usiłuje zapobiedz pierwiastkowi nieładu i rozprzężenia.

Nie zajmujemy się tu teorją filozoficzną, i zostawimy bez wyrzeczenia o niej sądu kwestję zasadniczą, czyli wobec rezultatów osiągniętych przez *wiedzę* ludzką, wszelka *wiara* ma, lub nie ma być

uważaną jako przesąd zastarzały. Z praktycznej tylko strony rzecz biorąc, powiemy: Gdyby wszystkie indywidua, składające rodzinę, państwo i społeczeństwo ludzkie, stały na najwyższym szczeblu rozwoju intelektualnego i naukowego, wówczas, być może, iż świadomość tego, co dla ogółu, a pośrednio dla jednostek, jest pożytecznem lub szkodliwem, zapobiegłaby nieładowi i rozprzężeniu wszelkiej społeczności ludzkiej. Być może, iż wówczas dobry kodeks cywilny i karny byłby wszystkiem, czegoby ludzkość potrzebowała. Ale i to tylko — być może.

Lecz żaden z zakątków naszej ziemi nie może się jeszcze poszczycić taką ludnością na wskroś filozoficzną i uczoną. Natomiast spostrzegamy, że gdzieniegdzie, skoro u mas ludności podkopano wiarę, a miejsca jej oczywiście nie zajęła gruntowna i prawdziwa wiedza, objawiają się symptomata anarchii, depcącej wszelki porządek społeczny i państwowy i rozprzegającej nawet pierwszy zawiązek wszelkiej społeczności ludzkiej, tj. rodzinę — bez nadziei utworzenia nowego jakiegokolwiek ładu. Masy proletarjatu w wielkich miastach francuskich są żywą dziś ilustracją do tych słów naszych.

Otóż, bez zgłębiania teorji, przychodzimy do praktycznego pewnika: Ład społeczny i państwowy wymaga w indywidualnem przeświadczeniu jednostek, stanowiących masę ludności, podstaw takich, jakich mu dostarczyć może jedynie wiara — albo-

wiem bez wiary nie masz zasadniczej różnicy między dobrem a złem—bez wiary, nauka z trudnością tylko może zastąpić te pojęcia postanowieniami i prawidłami utylitarnemi — bez wiary, ciemnota sprowadza zdziczenie i zzwierzęcenie. A więc, rozumowanie racjonalne i wolne od tego wszystkiego, coby słusznie lub niesłusznie można nazwać przesądem, prowadzi nas do prawidła, że *wiara jest rzeczą potrzebną*.

Wiara, a religia, to jeszcze nie jedno i to samo. Wiarą jest to, czem człowiek uzupełnia lub zastępuje niedostającą mu wiedzę. Są religie, które mu dają taką wiarę. Są inne, które nietylko zastępują i uzupełniają wiedzę dogmatami i prawidłami, wywodzonemi z nadnaturalnego objawienia, ale które oprócz tego na każdym punkcie wchodzą w kolizję z wiedzą pozytywną i niezbitą, a nawet ze zwykłym rozsądkiem ludzkim. Religia, która każe czcić kawałek drzewa, i przypisywać mu przymioty bóstwa, nie może obudzić wiary w swoje dogmata i prawidła w człowieku, który zna dokładnie drzewo i wie, że jest ono bezwiedną masą, dającą się porąbać lub spalić. Religia, która uczy, że człowiek może być na wieki potępionym, ponieważ jej nie

wyznaje — chociaż człowiek ten nawet o jej istnieniu nie wiedział — taka religia wchodzi w kolizję z wrodzonym każdemu człowiekowi instynktem słuszności, i *wiary* w nim obudzić nie może.

Gdzie panuje religia tego rodzaju, tam nastąpić musi jedno z dwojga: albo stan kapłański utrzymuje masy ludu w ciemnocie idiotycznej i zabija w nich wrodzone dobre instynkta, — albo też masy te emancypują się i przestają wierzyć. Na nieszczęście, przestają one wierzyć nietylko w nonsensa dogmatyczne i w absurda etyczne, które im się do wierzenia podaje, ale także w to, co każda religia zawiera szczytnego, dobrego i względnie prawdziwego.

Tak się stało z katolicką ludnością miast we Francji.

Tak się *nie* stało w żadnym kraju protestanckim.

Kiedy bowiem pewnego czasu sprzedawano w Niemczech za gotowe pieniądze listy odpustowe, tak, że człowiek bogaty mógł się na zawsze wykupić z czyśćca, człowiek zamożny na długo, a człowiek ubogi wcale nie — i kiedy w skutek tego groziło niebezpieczeństwo, iż lud niemiecki jako bardziej myślący, ujrzy w tem krzyczącą niesłuszność i religii, niesłuszność wyznającej, a wraz z religią wszelkiej wiary się pozbędzie — wówczas w Niemczech znalazł się człowiek, który ocalił *wiarę*, tworząc no-

wą religię. Człowiekiem tym był dr. Marcin Luter. W krajach, gdzie reformacja się nie przyjęła, rzeczy poszły zwykłym trybem: jedni wierzyli i wierzą więcej niż rozum pozwala, i zostają w grubej ciemnocie, drudzy nie wierzą w nic, a ci z pomiędzy nich, którzy najmniej wierzą, tj. duchowni, wyzyskują ciemnotę masy na własną korzyść, i umieją interes swój zespolić z potężnemi interesami świeckiemi dla tem lepszego owładnięcia ciemnego ogółu.

Była jednak zawsze i jest między duchowieństwem katolickiem część rozumna i sumienna oraz, która spostrzegła, iż mnożenie zbytecznych i zdrowemu rozsądkowi przeciwnych dogmatów wiary — iż szorstkie i nieugięte obstawanie przy prawidłach religijno-etycznych, niezgodnych z najsłabszym nawet instynktem słuszności, zamiast utrwalać, rozszerzać i wzmacniać prawdziwą wiarę, szerzy tylko indyferentyzm i zupełną niewiarę. Powstał więc w łonie kościoła katolickiego prąd dążący do reformacji wewnętrznej, tj. do takiej reformy w dogmatach wiary i przepisach moralnych, któraby usunęła wszelką ich kolizję ze zdrowym rozsądkiem i z dobremi instynktami ludzkiemi.

Dziwne atoli jakieś zacietrzewienie się i bezprzykładne głupstwo sprawiło, iż wobec »mądrzejącej« ciągle ludzkości, wobec coraz bardziej szerzącego się ducha krytyki, zamiast iść z tym prądem, zamiast czynić koncesje najprostszym wymaganiom

rozsądku i słuszności, i reformując religię, ocalić wiarę — poczęto przeciwnie pomnażać liczbę dogmatów niepotrzebnych i niezgodnych nawet z rozsądkiem pierwszego lepszego prostaczka, albo przepisów religijno-moralnych, rażących wszelki zmysł sprawiedliwości.

I tak, w oczach naszych powstał »Syllabus« — zbiór »błędów« które kościół katolicki potępia. Między temi błędami znajduje się także twierdzenie, iż nie każda władza pochodzi od Boga, i nie każdą przeto szanować należy. Otóż ci sami, ktorzy to twierdzenie nazwali potępienia godnym błędem, uzbrajali bandytów kalabryjskich przeciw królowi włoskiemu. Jakiż jeszcze prostaczek weźmie ich prawidła na serjo?

Dalej, utworzono dogmat Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Panny Marji, t. j. dogmat, iż Najśw. Panna Marja nietylko Chrystusa poczęła bez zmazy cielesnej, ale sama także w ten sposób była poczętą. Protestanci wierzą silnie w boskość Chrystusa, i wiara ich nie potrzebuje tak zmysłowych podstaw. Wogóle wiara nie znosi refleksyj tego rodzaju — jakąż bowiem styczność może mieć niecielesna istota bóstwa z naszemi pojęciami zmysłowemi? Wszak Hostja, którą kapłan przemienia w Ciało pańskie, nie powstaje bez dotknięcia grzesznej ludzkiej ręki, a nie przeszkadza to jej przeistoczeniu. Dogmat, o którym mowa, wprowadzono jedynie, aby spowie-

dnikom i katechetom dać sposobność mówienia z elewkami o rzeczach, o których one nie mówią nawet ze swojemi matkami, i aby tym sposobem w interesie teokracji, postawić u najtajniejszego zawiązku stosunków małżeńskich i rodzinnych — księdza.

Cóż mówić dopiero o dogmacie nieomylności papiezkiej, który napotkał na tak silną opozycję w łonie soboru watykańskiego i który bodaj czy nie da jeszcze powodu do shizmy w kościele katolickim? Widzimy, że w Niemczech jeden z prałatów katolickich oświadcza publicznie, iż dogmatu tego nie może pogodzić ani ze swojem sumieniem, ani z przysięgami, które wykonał jako doktor teologii i jako obywatel państwa.

Jednym ze skutków tego dogmatu jest, że głoszona przez kurję rzymską potrzeba świeckiej władzy papieża, tj. potrzeba, by pewna część Włoch administrowaną była przez księży, staje się także dogmatem. Coraz tedy więcej zmysłowych i materjalnych pojęć połączono z najbardziej niecielesną i niezmysłową religią, z religią Chrystusa, w kościele katolickim. To też, przypatrzmy się skutkom: Gdzie tylko katolicyzm wyłącznie panuje, tam albo utrzymuje się za pomocą idyotycznej ciemnoty mas ludności, albo za pomocą — indyferentyzmu.

Dla czego u nas ogłoszenie dogmatu nieomylności papieża przyjętem było obojętnie? Bo nasze ma-

sy są tak ciemne, że nie zastanawiają się nad niczem, a nasze klasy wykształcone tak dalece przejęte są indyferentyzmem, że wszystko im jedno, czy kościół trochę mniej, czy trochę więcej do wierzenia daje — one jednakowo w n i c nie wierzą. Każdemu się zdaje, że ma jakąś osobną, racjonalną religię sam dla siebie, niejeden ma ją może w istocie — drugi, nie ma żadnej.

Biada nam i biada społeczeństwu naszemu, gdy kiedyś ten indyferentyzm udzieli się masom, u których dziś pojęcia zmysłowe zastępują nadzmysłowe dogmata wiary, ale u których przynajmniej, za pomocą tego surogatu wiary, niektóre ważne prawidła moralne utrzymują się w umysłach jako pewniki niezachwiane. Żadna potęga w świecie nie jest w stanie przeszkodzić, by z czasem do tych umysłów nie zagościła refleksja, która obali absurda fetyszyzmu, stanowiące ich religię — a wówczas, ponieważ półmędrek na miejsce religii z drzewa i malowanego płótna nie potrafi utworzyć sobie własnej, racjonalnej religii, nastąpi ogólnie takie zwolnienie wszystkich węzłów rodzinnych i społecznych, takie zachwianie kardynalnych podstaw ładu publicznego, jakiego dziś miejscami zaledwo przedsmak czujemy. We Francji, zwolnienie to i ten nieład objawiają się u proletarjatu miejskiego — u nas będzie gorzej, bo zamiast proletarjatu miejskiego, który w najgorszym razie można zkartaczować na

kilku ulicach, mamy niezmiernie liczny proletarjat wiejski.

Zwolennicy mnożenia dogmatów w kościele katolickim zwracają się zazwyczaj do klas zamożnych i tradycją historyczną połączonych z różnemi instytucjami kościoła. Wmawiają w szlachtę i bogatsze mieszczaństwo, że wobec szerzącej się niewiary i niereligijności, podkopującej wszystkie stosunki społeczne i t. d. niezbędnym jest ten kierunek, potęgujący niby ortodoksję. Jest to fałsz. Ażeby ludzie wierzyli, nie potrzeba im kazać wierzyć zbyt wiele. Przedewszystkiem, nie potrzeba nastawać, aby wierzyli w rzeczy nieracjonalne i niesłuszne.

Skoro więc, jak na wstępie wywiedliśmy, wiara jest jedną z koniecznych i niezbędnych podstaw ładu społecznego i państwowego — skoro dalej dowiedliśmy, iż przeważający dziś w kościele katolickim kierunek mnożenia dogmatów i zasklepiania się w coraz to ściślejszej ortodoksyjności, wiarę podkopuje i podkopać musi — więc ostatecznie każdy, komu zależy na utrzymaniu społeczeństwa, państwa i rodziny, zażądać musi rachunku od wyznawców tych dążeń, t. j. od ultramontanów i jezuitów, i spytać ich, co też nam pomoże Syllabus, i co pomoże Nieomylność Papieża, gdy się urwie zbyt naciągnięta struna, i gdy masy w skutek zbytniego obładowania religii takiemi dogmatami, przestaną naraz wierzyć we wszystko, w Boga, w nieśmiertel-

ność duszy, w pośmiertną nagrodę za dobre, a karę za złe, w boskie pochodzenie różnicy między dobrem a złem? W krajach protestanckich nie ma tego niebezpieczeństwa, tam wierzy nietylko lud, wierzą także pastorowie, wierzą klasy wykształcone. Wykształcenie a indyferentyzm religijny nie są tam synonimami. Ależ u nas?

Nie tyle tedy skrajne stronnictwo postępu, albo raczej stronnictwo przewrotu, ale właśnie stronnictwo konserwatywne w dobrze zrozumianym interesie własnym zwalczać musi tendencje ultramontańskie i popierać raczej kierunek reformacyjny, objawiający się w kościele katolickim i szukający przytułku w prasie perjodycznej, odkąd go na soborach zagrożono klątwą, a w dyecezji suspenzją *a divinis*.



Drukiem Kornela Pillera we Lwowie. 1871.